

# Sport zawodowy – dziura bez dna?

18 lipca 2024

Jako kibic Stali Mielec nie mogłem nie odnotować odcięcia mojego klubu od finansowania przez spółki Skarbu Państwa. Odcięcia, które w skutkach nie musi być tak tragiczne, ale które zwiastuje nieciekawe czasy dla sportu w ogóle.

Zgodnie z zapowiedziami uśmiechniętej koalicji rządzącej, państwowe firmy powoli wycofują się z finansowania sportu zawodowego. Dzieje się to pod wpływem ideologii fiskalizmu, oszczędności i tym podobnych liberalnych dogmatów. Czy populizm tego rodzaju nie będzie nas kosztować drożej niż sam sport do tej pory?

Nie ma właściwie roku, by gdzieś w kraju nie wybuchł skandal związany z finansowaniem klubu sportowego przez państwowe firmy bądź samorzady. A to prezes buduje dom, a drużyna spada z ligi, a to klub apeluje o „pożyczkę” od miasta, bo inaczej nie przystąpi do rozgrywek, a to znowu polityk załatwił lokalnemu zespołowi energetycznego giganta, żeby przepalić pieniądze w przysłowiowym piecu. To wszystko tworzy klimat, w którym społeczeństwo w swoim przekroju sprzeciwia się dotowaniu sportu zawodowego z publicznych środków, uznając to za nieefektywne gospodarowanie i brak poszanowania dobra wspólnego. Trudno, by było inaczej, natomiast warto nieco rozszerzyć zagadnienie i spojrzeć na filozofię, jaka za finansowaniem sportu stoi.

Dlaczego bowiem państwo czy samorząd w ogóle to robią? Poza wątkiem osobistych ambicji i chęci przywłaszczenia sobie publicznych, „niczyich” środków – władza lubi sukces, a sukces lubi władzę. W końcu każdy premier chętnie zapozuje do zdjęcia z siatkarskimi mistrzami świata. I każdy opozycjonista chętnie ponarzeka na brak sukcesu sportowców. Polityka. Ta wielka, ale

też ta mała. Inwestuje się w sport także z powodów społecznych, takich jak potrzeba stworzenia infrastruktury dla młodzieży, która dzięki temu ma okazję kształtować własne zdrowie fizyczne czy uczyć się postaw życiowych przynależnych sportowi. Tam też następuje zwykle pierwsza selekcja pod kątem talentu do danego sportu. Trochę ten wątek się mitologizuje, bo przecież, by grać w piłkę, wystarczy właściwie piłka, cztery plecaki i kawałek wolnego miejsca. To jednak ulega zmianie i jeśli chcemy mieć drużynę na miarę 40-milionowego narodu, to już nie możemy polegać na brazylijskiej metodzie przebijania się od podwórka. Nie ta skala. Zresztą Brazylia nie wygrała mundialu od ponad 20 lat.

No dobrze, ale jaka jest alternatywa? Nie ma miejsca na zbyt obszerną antologię, więc zostaniemy przy piłce nożnej. Co będzie z tym sportem bez państwowych dotacji? Zastąpić mogą je prywatni inwestorzy, którzy mają „swoje” środki, zwykle wypracowywane przez tysiące czy dziesiątki tysięcy ludzi, ale ponieważ pod przymusem ekonomicznym separuje się ich od owoców własnej pracy – takich pieniędzy nie uznajemy za „publiczne”. Czyli kwestia ideologicznej konstrukcji. Zostawmy to jednak. Czy prywatny inwestor to dobry pomysł dla klubu piłkarskiego, uwzględniając jego wartość nie tylko jako elementu lokalnej rozrywki, ale także jako odpowiedzialnego za dostęp młodzieży do infrastruktury? Niestety nie. Zwykle to pozostawia po sobie zgliszczca. Jak dziś wygląda ta infrastruktura we Wronkach, Grodzisku Wielkopolskim, warszawskiej Polonii, czy nawet na krakowskiej Wiśle? To wszystko zespoły opuszczone przez swoich „sugar daddy”. Bez żadnego skandalu, bo przecież „Pan dał, to i Pan zabrać może”. Problem z takimi inwestorami jest taki, że wszystko opiera się wyłącznie na ich kaprysie, trwającym nie dłużej niż kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, więc trudno o jakąś trwałość. Ot, szybki sukces, Ekstraklasa czy Liga Mistrzów i zabawka się znudziła, idę dalej.

Czy takich „mecenasów sportu” można zastąpić bez publicznych dotacji? Owszem, model niemiecki, czyli mnóstwo małych,

prywatnych sponsorów tworzących budżet klubu. Wykonalne, ale w warunkach dobrze prosperującej gospodarki, gdzie mała i średnia przedsiębiorczość jest rentowna, przywiązana do miejsca, lokalnych społeczności i stać ją na reklamowanie się w ten sposób.

Czyli w Polsce na ten moment warunków ku temu nie mamy, co wiąże się z rabunkową polityką ekonomiczną po 1989 roku, która nie polegała na stymulacji rozwoju, a na grabieży tego co polskie. Jesteśmy peryferią, więc nie mamy takiej przedsiębiorczości i naprawdę ciężko by było z tego coś zlepić. Rzeczona Stal Mielec zresztą próbowała, ale starczyło tego tylko na drugi poziom rozgrywkowy, pierwszego by nie było bez wsparcia Polskiej Grupy Energetycznej. Znowu kwestia skali.

Oczywiście nie sposób pominąć wątku niebotycznych zarobków piłkarzy. Jasne, że to oburzające i że mieszkaniac gminy czy powiatu może nie być zadowolony ze zrzucania się na dziesięciokrotnie wyższą od swojej pensje zawodnika klubu Ekstraklasy. Ale to nie my wyznaczamy trendy na zglobalizowanym rynku piłkarskim i bez tego nie będziemy konkurencyjni. Choć sprawa warta jest debaty, skoro w Czechach zarabiają piłkarze dużo mniej, a w Europie radzą sobie ich kluby lepiej.

Tematu dziś nie wyczerpię, wątków jest do omówienia sporo i będę to pewnie co jakiś czas tu robić, natomiast konkluzja jest jedna: wycofanie publicznych pieniędzy ze sportu zawodowego w obecnych warunkach będzie oznaczać jego dalszą peryferyzację i pauperyzację, a to przełoży się na brak możliwości planowania rozwoju tej dziedziny w skali lokalnej. Będziemy mieli tylko stopniową destabilizację i pojedyncze sukcesy w zależności od tego, gdzie znajdzie się bogaty człowiek mający akurat apetyt na piłkę u siebie w miejscowości. Mogą to być, jak teraz, Motor Lublin i Raków Częstochowa, może to być maleńka Nieciecza, ale wystarczy, że sponsorowi się to znudzi i zostanie po tym ruina. Naprawdę tego chcemy?

Autorstwo: Tomasz Jankowski

Źródło: [MyslPolska.info](http://MyslPolska.info)